

# Święty Augustyn – „Wyznania”

<Księga 7>

## Spis treści

1. Umarła już moja młodość zła, haniebna, i wchodziłem w wiek męski.....	2
2. Przeciwno zaś oszukanym oszustom i gadatliwym niemowom .....	4
3. Ale chociaż mówiłem i mocno wierzyłem, że .....	5
4. Skoro więc odkryłem, że to, co nienaruszalne, jest lepsze od tego, co naruszalne .....	7
5. Lecz szukając, skąd się wywodzi zło, źle szukałem .....	7
6. W tym czasie odwróciłem się też od astrologów .....	10
7. Z tamtych więc więzów już mnie, Wspomożycielu mój, wyzwoliłeś.....	14
8. Ty, Panie, na wieki trwasz, lecz nie na wieki gniewasz się na nas. ....	15
9. Najpierw postanowiłeś okazać mi, jak się pysznym sprzeciwiasz .....	15
10. Te książki zachęcały mnie, abym wrócił do samego siebie .....	18
11. Przypatrzyłem się też rzeczom istniejącym poniżej Ciebie.....	19
12. Stało się też dla mnie jasne, iż rzeczy, które ulegają zepsuciu, są dobre .....	19
13. Dla Ciebie w ogóle nie ma zła, i nie tylko dla Ciebie, lecz i dla Twego stworzenia jako całości ..	20
14. Brakuje rozsądku ludziom, którym się cokolwiek nie podoba w Twoim stworzeniu.....	21
15. Przypatrzysz się innym rzeczom, pojąłem, że Tobie one zawdzięczają istnienie .....	22
16. Przekonałem się z własnego doświadczenia, że nie ma w tym nic dziwnego, gdy człowiekowi choremu nie smakuje chleb, .....	22
17. Zdumiewało mnie, że chociaż miłowałem już Ciebie .....	23
18. Myślałem o tym, skąd powinienem nabyć mocy .....	24
19. Ja jednak wtedy inaczej te sprawy pojmowałem .....	25
20. Książki platoników, które przeczytałem, zachęciły mnie do szukania bezcielesnej Prawdy .....	26
21. Łapczywie więc chwyciłem w ręce czcigodne Pisma natchnione przez Ducha Świętego .....	28

## KSIĘGA VII

### **1. Umarła już moja młodość zła, haniebna, i wchodziłem w wiek męski.**

Im starszy byłem latami, tym się stawałem wstrętniejszy przez dobrowolne przyjmowanie urojeń. Za substancję uważałem tylko to, co można dostrzec oczyma. Ciebie jednak, Boże, nie wyobrażałem sobie w postaci ciała ludzkiego; taki błąd odrzuciłem już na początku moich studiów filozoficznych. I z radością przekonałem się, że tak samo odrzuca ten błąd wiara naszej matki duchowej, Twego Kościoła katolickiego. Ale nie wiedziałem, jak właściwie powinienem Ciebie pojmować. Będąc człowiekiem, i to słabym człowiekiem, usiłowałem myśleć o Tobie jako o najwyższym, jedynym i prawdziwym Bogu. Aż do dna serca wierzyłem, że jesteś niezniszczalny, nienaruszalny, niezmienny. Chociaż bowiem nie wiedziałem, dlaczego tak jest, nie ulegało dla mnie wątpliwości, że to, co może być zniszczone, jest gorsze od tego, co zniszczone być nie może; to, czego nie można naruszyć, bez wahania przekładałem ponad to, co naruszyć można; to, co nie podlega żadnej zmianie, ponad to, co można zmienić. Serce moje wielkim głosem wołało przeciw wszystkim moim urojeniom.

Ta jedyna prawda była orężem duchowym, którym mogłem rozganiać osaczający mnie rój nieczystych obrazów. Ale ledwie je na chwilę rozgoniłem, oto znowu się wokół mnie kłębiły, rzucały się na mnie, nie pozwalały mi patrzeć przed siebie. Chociaż więc sobie nie wyobrażałem Ciebie w postaci ciała ludzkiego, nie potrafiłem uwolnić się od myśli, że byłeś jakimś rodzajem substancji cielesnej rozciągniętej w przestrzeni, czy to przenikającej tylko świat, czy też rozlanej również w nieskończoności poza światem. Substancję tę pojmowałem jako coś nie podlegającego zepsuciu ani ubytkowi, ani zmianie, a więc lepszemu od wszystkiego, co może się psuć, ubożec albo przemieniać. Tak sobie to

przedstawiałem. Ilekroć zaś usiłowałem pojąć coś bez wymiarów przestrzennych, wydawało mi się, że była to nicość, absolutna nicość; że nie była to nawet próżnia. Gdybyśmy bowiem jakieś ciało usunęli z zajmowanej przez nie przestrzeni i gdyby w tej przestrzeni nie było żadnego innego ciała - czy to ziemi, czy wody, czy powietrza, czy eteru - pozostałaby jednak sama pusta przestrzeń. Niczego innego by tam nie było; ale byłaby pusta przestrzeń.

Mój umysł był tak otępiały i tak mało świadomy nawet samego siebie, że to, co nie miało żadnych wymiarów przestrzennych, uważałem za absolutną nicość. Cokolwiek nie miało czy mieć nie mogło cech związanych z przestrzenią, takich jak rzadkość, gęstość czy grubość - wydawało mi się nicością. Umysł mój w swych wyobrażeniach miotał się wśród takich kształtów, do jakich przywykło oko, a nie uświadamiałem sobie, że siła myśli, która formowała te obrazy, sama była czymś zupełnie od nich odrębnym. A przecież nie mogłaby ich formować, gdyby sama nie była czymś, i to czymś dostatecznie wielkim, aby być do tego zdolną. Myślałem więc o Tobie, Życie duszy mej, jako o wielkiej istocie rozprzestrzeniającej się we wszystkich kierunkach w całej nieskończonej przestrzeni, istocie przenikającej całą masę świata i sięgającej we wszystkich kierunkach poza nią, w bezmiar, tak że ziemia, niebo i całe w ogóle stworzenie było pełne Ciebie, a granice ich były w Tobie, podczas gdy Ty nie miałeś żadnych w ogóle granic.

Powietrze, czyli atmosfera, która okrywa ziemię, jest ciałem materialnym, ale to ciało nie stawia oporu światłu słońca. Światło przez nie przenika, nie rozłamując go ani nie rozpraszając, lecz napędzając je całkowicie. Wyobrażałem sobie, że w taki sposób Ty przenikasz ciała materialne, nie tylko powietrze, eter i morze, lecz także ziemię, i że możesz docierać do wszystkich ich części, zarówno największych, jak

i najmniejszych, dzięki czemu napełnione są Twoją obecnością, i że niewidzialną tą siłą rządysz wszystkim, co stworzyłeś, tak od wewnątrz, jak z zewnątrz. Taką wyznawałem teorię, gdyż nie potrafiłem sobie wyobrazić Ciebie w żaden inny sposób. Ale była to fałszywa teoria. Gdyby bowiem była prawdziwa, oznaczałoby to, że większa część ziemi zawiera większą część Ciebie, mniejsza zaś część - mniejszą. Wprawdzie wszystko byłoby napełnione Twoją obecnością, ale w taki sposób, że ciało słonia zawierałoby więcej Ciebie niżli ciało wróbla, bo jest przecież większe i więcej zajmuje miejsca. Rozdzieliłbyś więc swoją substancję po kawałku między poszczególne składniki świata, każdemu dając więcej lub mniej - zależnie od jego rozmiarów. Oczywiście tak nie jest. Ale wtedy jeszcze nie rozświeciłeś moich ciemności.

**2. Przeciwno zaś oszukanym oszustom i gadatliwym niemowom** - bo nie dźwięczało w ich ustach słowo Twoje - przeciwko manichejczykom wystarczał mi, Panie, argument, którym zwykle posługiwał się Nebrydiusz jeszcze w czasach, gdy mieszkaliśmy w Kartaginie. Argument ten na nas wszystkich wywarł wielkie wrażenie. Nebrydiusz zadawał pytanie, co mogłyby Ci uczynić wszystkie siły ciemności, które manichejczycy uważają za masę Tobie przeciwstawną, gdybyś uchylił się od walczenia z nimi. Gdyby odpowiedzieli, że mogłyby Ci wyrządzić szkodę, oznaczałoby to, że jesteś naruszalny i niszczalny. Gdyby zaś rzekli, że w żadnej mierze moce te nie mogłyby Ci zaszkodzić, nie byłoby sensu w walce, w której tylko jakaś część Twoja, jakiś członek Twój albo odrośl wyłoniona z Twej substancji starłaby się z przeciwnymi potęgami, z naturami nie przez Ciebie stworzonymi; i do tego stopnia byłaby przez nie zepsuta i przemieniona w gorszą, że ze szczęśliwości osunęłaby się w nędzę i do ocalenia i oczyszczenia potrzebowałaby pomocy. A

za taką właśnie odrośl uważali oni duszę ludzką, którą, jako zniewoloną, zbrukaną i zepsutą, miało wspomóc Twoje słowo, jako wolne, czyste i nienaruszone. W takim jednak wypadku również ono podlegać by mogło zepsuciu, bo przecież z tej samej pochodziło substancji co dusza.

Kimkolwiek więc jesteś - chcę powiedzieć: czymkolwiek jest substancja, dzięki której jesteś tym, czym jesteś - jeśli przyznawali, że jesteś niezniszczalny, wszystkie ich nauki były fałszywe i godne potępienia. Jeśliby zaś oświadczyli, że jesteś zniszczalny, byłby to jawny fałsz, który wystarczy usłyszeć, aby go ze zgrozą odrzucić. Wystarczał więc przeciw nim ten jeden argument. Dzięki niemu mogłem odepchnąć od siebie ich nauki, tę dławiającą mnie zmorę. Głosząc bowiem taką teorię o Tobie, manichejczycy nie mogli się z dysputy wywikłać bez popełnienia w taki czy inny sposób strasznego świ~~██~~tokradztwa serca i języka.

**3. Ale chociaż mówiłem i mocno wierzyłem, że** Ty, Panie nasz, Boże prawdziwy, który nie tylko nasze dusze, lecz także ciała stworzyłeś, i nie tylko dusze i ciała nasze, lecz wszystkie rzeczy ożywione i nieożywione - jesteś nieskalany i niezmienny, nie mogłem znaleźć wyraźnego i jednoznacznego wyjaśnienia przyczyny zła. Jakakolwiek była ta przyczyna, wiedziałem, że nie należy jej szukać w takiej teorii, która by mnie zmuszała do uznania, że niezmienny Bóg jest zmienny; stałbym się bowiem sam tą przyczyną zła, której szukałem. Spokojnie prowadziłem dalsze badania, upewniwszy się, że teorie manichejczyków są fałszywe. Całe moje serce buntowało się przeciwko tym ludziom, bo widziałem, że poszukując przyczyny zła sami byli napełnieni złem. Woleli bowiem uznać, że Twoja substancja doznaje zła, niż przyznać, że ich ludzka substancja zło popełnia.

Usiłowałem więc pojąć to, co mi mówiono: że przyczyną czynienia zła jest wybór dokonywany przez naszą wolną wolę, a przyczyną doznawania zła jest Twój sprawiedliwy wyrok. Nie mogłem jeszcze tego zrozumieć z zupełną jasnością. Usiłowałem podźwignąć moją zdolność rozumienia z przepaści, w jakiej była pogrążona. Ale znowu spadałem w tę otchłań. Znowu się dźwigałem w górę i znowu, znowu spadałem w dół. Podnosiła mnie ku światłu Twemu przynajmniej ta pewność: o tym, że mam wolę, wiedziałem z równą pewnością, jak o tym, że żyję. Ilekroć czegokolwiek chciałem albo nie chciałem, byłem całkowicie pewny, że to właśnie ja - a nie kto inny - chcę tego albo nie chcę. I już zaczynało mi świtać, że właśnie w woli jest źródło mego grzechu. Ilekroć bowiem czyniłem coś mimowolnie, odczuwałem, że raczej doznaję, niż czynię; a to, czego doznawałem, uważałem nie za winę, lecz za karę. Ponieważ zaś uznawałem Ciebie za sprawiedliwego, natychmiast stwierdzałem w duchu, że słusznie odbieram chłostę.

Lecz znowu zadawałem sobie pytanie: Kto mnie stworzył? Czyż nie Bóg mój, który nie tylko jest dobry, lecz jest dobrem samym? Skądże więc we mnie to pragnienie zła i opór wobec dobra, którymi zasługuję na sprawiedliwą karę? Kto to we mnie wszczepił? Kto we mnie zasiał to gorzkie ziarno, skoro mnie całego stworzył najukochańszy Bóg mój? Jeśli sprawcą jest diabeł, to skądże się wziął ów diabeł? Jeśli był on niegdyś dobrym aniołem i stał się diabłem przez złą wolę, to skądże w nim powstała owa zła wola, przez którą diabłem się stał, skoro Stwórca, który przecież jest dobry, uczynił go dobrym aniołem, a niczym innym? Te rozmyślenia znowu mnie spychały w przepaść, w której się dusiłem. Ale już nie osuwałem się aż do tego piekła błędu, gdzie nikt Tobie nie wyznaje swej winy, wołając uznać, że Ty doznajesz zła, niż stwierdzić, że człowiek zło czyni.

**4. Skoro więc odkryłem, że to, co nienaruszalne, jest lepsze od tego, co naruszalne,** uczyniłem to podstawą dalszego dociekania, uznając, że Ty, czymkolwiek jesteś, na pewno musisz być nienaruszalny. Nigdy bowiem żadna dusza nie mogła ani nie będzie mogła pojąć czegokolwiek, co byłoby lepsze od Ciebie, będącego najwyższym, doskonałym dobrem. A ponieważ, jak uznawałem, to, co nienaruszalne, jest z całą pewnością lepsze od tego, co naruszalne - wynikało z tego, że gdybyś Ty nie był nienaruszalny, to byłoby dla mnie możliwe osiągnięcie myśłą czegoś, co byłoby lepsze od mego Boga. Zrozumiawszy, że niezniszczalne góruje nad wszystkim, co niszczone, w świetle tej prawdy byłem obowiązany szukać Ciebie i starać się o odkrycie źródła zła, czyli o zrozumienie, skąd pochodzi owo zepsucie, które Twojej substancji w żadnym stopniu nie może naruszyć.

Skażenie nie dotyka naszego Boga ani poprzez akt woli, ani z konieczności, ani przypadkiem. Bo przecież jest On Bogiem. I to, czego On pragnie, jest dobre. I On sam jest owym dobrem. A stan skażenia nie jest dobry. Nigdy też, Panie, nie jesteś zmuszony do czegokolwiek wbrew swej woli, gdyż wola Twoja nie jest większa od Twojej mocy. Tylko wtedy mogłaby być większa, gdybyś Ty był większy od siebie samego. Wola Boża i moc Boża to jest właśnie sam Bóg. A czyż mogłoby się zdarzyć Tobie cokolwiek nieprzewidzianego? Przecież Ty wszystko wiesz - i wszelka natura istnieje tylko dzięki temu, że Ty ją znasz. Czyż muszę jeszcze dłużej dowodzić, że substancja, którą jest Bóg, nie może być niszczalna? Gdyby była niszczalna, nie byłaby Bogiem.

**5. Lecz szukając, skąd się wywodzi zło, źle szukałem.** Nie umiałem dostrzec zła, jakie tkwiło w samym moim sposobie badania. Przed oczyma ducha stawiałem sobie całe stworzenie - zarówno to, co możemy zobaczyć: ziemię, morze, powietrze,

gwiazdy, drzewa i żywe istoty śmiertelne, jak i to, czego ujrzyć nie można: utwierdzenie nieba w górze, wszystkich aniołów, wszystkie duchowe byty nieba. Lecz także te byty, jakby były ciałami, umieszczała w takich a takich miejscach moja wyobraźnia. Całe Twoje stworzenie wyobraziłem Sobie jako wielką masę składającą się z różnych rodzajów ciał - niektóre z nich rzeczywiście były ciałami, a niektóre tylko w mojej wyobraźni zastępowały byty duchowe. Pojmowałem tę masę jako olbrzymią, nie mogąc oczywiście znać jej rozmiarów, lecz wyobrażając ją sobie jako dowolnie wielką, chociaż we wszystkich kierunkach ograniczoną. Ciebie zaś, Panie, pojmowałem jako ogarniającego ją ze wszystkich stron i przenikającego ją w każdej części, a zarazem, pod każdym względem nieskończonego. Tak jakby rozlewało się wszędzie morze i nie było nic innego oprócz bezmiernego, nieskończonego morza, a gdzieś w jego obrębie byłaby gąbka, wielka, lecz jednak ograniczona, napełniana we wszystkich swoich częściach przez owo bezmierne morze. Tak sobie wyobrażałem napełnienie ograniczonego Twojego stworzenia Tobą bezgranicznym. Mówiłem sobie: oto Bóg i oto co stworzył Bóg. Dobry jest Bóg i bezwzględnie lepszy od wszystkiego, co stworzył. Lecz dobrym będąc stworzył dobra i w taki oto sposób ogarnia je i napełnia.

Gdzież więc jest zło? Skąd i w jaki sposób do tego świata się wkradło? Jaki jest jego korzeń? Co jest jego nasieniem? A może zło w ogóle nie istnieje? Czemu więc boimy się i wystrzegamy tego, czego nie ma? Jeśli nasz lęk nie ma uzasadnienia, to na pewno on sam jest złem, bo bez potrzeby szarpie i dręczy nasze serce. Tym większym jest złem przez to, że nie istnieje przedmiot lęku, a jednak się boimy. Albo więc złem jest to, czego się boimy, albo złem jest to, że się boimy. Skąd więc to zło pochodzi? Bo przecież Bóg stworzył wszystkie rzeczy, a będąc dobry stworzył je jako dobre. Będąc



większym i najwyższym dobrem, stworzył te dobra mniejsze; lecz przecież wszystko - i Stwórca, i rzeczy stworzone - wszystko jest dobre. W czym więc było zło? Czy w tym, z czego stworzył świat? Czy było coś złego w materii, z której ład świata ukształtował? Czy pozostawił w tej materii coś, czego nie skierował ku dobru? Dlaczegoż by jednak tak postąpił? Czyż mamy przyjąć, że chociaż był wszechmocny, nie miał dosyć siły, aby tak przemienić całą materię i nadać jej taki kierunek, by nic złego w niej nie pozostało? A w końcu - dlaczego chciał z niej cokolwiek tworzyć zamiast sprawić swoją wszechmocą, aby ta materia zupełnie przestała istnieć? Czy w ogóle mogła ona zaistnieć wbrew Jego woli? Jeśli zaś od wieczności istniała, to dlaczego przez te bezmiary minionego czasu pozwolił jej istnieć w takim stanie i tak późno postanowił coś z niej uczynić?

Jeśli nagle postanowił działać, czyż nie należałoby raczej oczekiwać, że wszechmocą swoją sprawi, by owa materia przestała istnieć? Tak, by nic nie istniało odtąd oprócz Niego samego będącego całą prawdą, najwyższym i nieskończonym dobrem? Jeśli zaś nie byłoby dobrze, gdyby Bóg, będąc dobry, nie tworzył również i nie ustanawiał czegoś dobrego, to czyż nie mógł usunąć i zniweczyć owej złej materii, aby zamiast niej uczynić dobrą, z której mógłby wszechświat stworzyć? Nie byłby przecież wszechmocny, gdyby do stworzenia czegokolwiek dobrego potrzebował oparcia w materii, której sam nie stworzył.

Takie to gorączkowe snułem w duszy medytacje, a mój niepokój był tym dotkliwszy, iż się lękałem, że umrę, zanim znajdę prawdę. Mocno jednak była wszczepiona w moje serce wiara - otrzymana w Kościele katolickim - w Chrystusa, Syna Twego, a naszego Pana i Zbawcę. W wielu sprawach poglądy moje były jeszcze nie ukształtowane i odbiegały od właściwej

nauki, ale umysł mój nie chciał od niej odejść i z dnia na dzień coraz głębiej ją chłonał.

**6. W tym czasie odwróciłem się też od astrologów**, odrzucając ich pretensje do przepowiadania przyszłości, bezbożne majaczenia. Za to także chcę z głębi duszy podziękować Twojemu, Boże mój, miłosierdziu. Ty bowiem, tylko Ty - nikt inny, nikt oprócz Ciebie - odwołujesz nas od śmierci, jakiej doznajemy za każdym razem, gdy błądzimy, Ty, który jesteś życiem nigdy nie podlegającym śmierci i nie potrzebującą żadnego cudzego światła mądrością, oświecającą wszystkich, którzy koniecznie potrzebują oświecenia, i rządzącą w świecie wszystkim, aż do liści szeleszczących na drzewach. Właśnie Ty mi zesłałeś przyjaciela, który mnie wreszcie wyleczył z tego oporu, jaki stawiałem zarówno mądemu starcowi Windycjanusowi, jak Nebrydiuszowi, młodemu, a zasługującemu już na podziw swym charakterem. Windycjanus kategorycznie astrologię odrzucał, Nebrydiusz zaś miał w tej dziedzinie pewne wątpliwości, ale i on często powtarzał, że nie istnieje kunszt rzeczywiście pozwalający na przepowiadanie przyszłości, lecz przewidywania ludzkie nieraz się sprawdzają przez czysty przypadek. Jeśli ktoś wypowiedział bardzo wiele przepowiedni, niejedna z nich okaże się potem prawdziwa, ale w chwili przepowiadania nie mógł jeszcze tego wiedzieć; wiele gadając, tu czy ówdzie przypadkowo natrafił na prawdę.

Zesłałeś mi więc przyjaciela, który wprawdzie nie przestudiował dokładnie ksiąg owego kunsztu, ale gorliwie zasięgał porad astrologicznych. Znał on pewien przypadek, o którym się dowiedział od ojca; a nie zdawał sobie sprawy, że ów jeden przypadek całkowicie wystarczał do wykazania nicości astrologii. Przyjaciel ten mój, imieniem Firminus, mający gruntowne wykształcenie retoryczne, któregoś dnia przyszedł poradzić się mnie jako serdecznego przyjaciela w

rzeczach dotyczących jego kariery. Pytał, jakie odczytuję dla niego nadzieje w jego horoskopie. Wtedy już zaczynałem się skłaniać w tej dziedzinie do opinii Nebrydiusza, nie uchyliłem się jednak od próby odczytania horoskopu. Powiedziałem, co dostrzegam w horoskopie, chociaż już raczej w to nie wierzyłem. Nie omieszkałem dodać, iż jestem już niemal pewny, że są to brednie śmiechu warte.

Opowiedział mi wtedy Firminus, że jego ojciec łapczywie pochłaniał księgi astrologiczne, a miał przyjaciela, który podzielał to zainteresowanie. Obaj się jednakowo pasjonowali tymi andronami i wzajemnie jeszcze w sobie podsycali ową namiętność. Nawet gdy zwierzęta w ich domach miały małe, zapisywali dokładnie chwilę porodu i sprawdzali ówczesne układy gwiazd, aby mieć materiał do badań w dziedzinie owej rzekomej wiedzy. Następnie odślonił przede mną Firminus historię swoich własnych narodzin, jak ją usłyszał był od swego ojca. Gdy matka Firminusa była w ciąży, jednocześnie oczekiwała dziecka pewna niewolnica w domu przyjaciela jego ojca. Nie uszła oczywiście ta druga ciąża uwagi pana, który najdokładniej notował nawet porody swoich suk. Jeden więc z owych dwóch przyjaciół pilnie obliczał dni, godziny i najmniejsze cząsteczki godzin ciąży swej żony, a drugi - służebnicy. I tak się zdarzyło, że u obu poród nastąpił w tym samym momencie. Znaczyło to, że horoskopy, jakie owi ludzie musieli ułożyć dla obu noworodków, były we wszystkich szczegółach takie same, chociaż jeden noworodek był synem pana domu, a drugi niewolnikiem. Skoro tylko obie matki zaczęły rodzić, każdy z tych ludzi informował drugiego o tym, co się w jego domu dzieje. Każdy miał na podorędziu posłańca, aby go wyprawić do drugiego zaraz po przyjściu dziecka na świat. Ponieważ oba porody dokonywały się w ich własnych domach, mogli wieść o nich wysłać natychmiast. Posłańcy, jak mi opowiadał Firminus, minęli się w miejscu

leżącym dokładnie w środku pomiędzy dwoma domami. Każdy więc z dwóch przyjaciół musiał przyjąć dla horoskopu taką samą pozycję gwiazd, skoro zupełnie taki sam był czas obu porodów. A oto Firminus, urodzony we własnym i zamożnym domu, kroczył gładzszymi drogami żywota, pomnażał swe bogactwo i coraz wyższe osiągał godności. Niewolnik zaś służył swoim panom; Firminus, który go znał, twierdził, że jego los w niczym się nie poprawił.

Uwierzyłem tej opowieści, gdyż człowiek, który ją powtarzał, zasługiwał na zaufanie. Przecięła ona ostatnie moje wątpliwości. Zaraz też postarałem się o to, żeby również Firminusowi wybić z głowy zainteresowanie astrologią. Powiedziałem mu, że jeśli układając jego horoskop odczytałem pozycję gwiazd w sposób prawidłowy, powinienem w nich dostrzec tylko to, że jego rodzice byli ważnymi osobistościami, że należeli do jednego z możliwych rodów swego miasta, że sam Firminus był z urodzenia człowiekiem wolnym, że otrzymał wychowanie stosowne do swej kondycji i wykształcenie w sztukach wyzwolonych. Ale tamten niewolnik urodził się przecież pod takim samym układem gwiazd, a gdyby mnie prosił o interpretację swego horoskopu, nie mogłaby ona być prawdziwa, gdybym nie stwierdził, że horoskop wskazuje na rodzinę najniższej kondycji, pozycję niewolnika, jak też wiele innych szczegółów całkowicie odmiennych, a nawet sprzecznych ze szczegółami odnoszącymi się do Firminusa. Dowodziło to, że gdybym miał mówić zgodnie ze stanem faktycznym, musiałbym dać w każdym wypadku interpretację odmienną, chociaż odczytywany przeze mnie układ gwiazd był zupełnie taki sam. Gdybym zaś w obu wypadkach dał interpretację taką samą, rozminąłbym się z faktycznym stanem rzeczy. Było więc dla mnie zupełnie jasne, że ilekroć przepowiednie oparte na obserwacji gwiazd okazują się trafne, jest to dziełem

przypadku, a nie triumfem kunsztu astrologicznego. Jeśli się okazują fałszywe, wynika to nie z braku biegłości we wróżeniu, lecz z przewrotności przypadku.

Uznawszy takie rozumowanie za odpowiedni punkt wyjścia, rozważałem dalej to zagadnienie, aby zawsze mieć gotową odpowiedź, gdyby któryś z dziwaków utrzymujących się z tego rzemiosła próbował twierdzić, że Firminus kłamał albo że jego ojciec wprowadził go w błąd. Byłem gotów do walki z astrologami, a nawet do posłużenia się wobec nich bronią śmieszności. Zająłem się przypadkiem bliźniaków, którzy się zazwyczaj rodzą w krótkim odstępie czasu. Jakiegokolwiek realne znaczenie mogą astrologowie przypisać temu odstępowi czasu, jest on na pewno zbyt mały, by go mogła wziąć pod uwagę ludzka obserwacja; nie da się go zaznaczyć w wykresach, jakie badają oni w celu ułożenia właściwego horoskopu. Nie mogłyby więc orzeczenia astrologa być prawdziwe, skoro musiałyby opierać się na tych samych wykresach zarówno w horoskopie Ezawa, jak w horoskopie Jakuba i dla nich obu wygłosiłyby takie same przepowiednie; bo przecież jest faktem, że losy tych ludzi były odmienne. Astrolog więc albo pomyliłby się w przewidywaniach, albo - gdyby miał przepowiadać trafnie - nie oczekiwałby takiej samej przyszłości dla obu ludzi. A jednak w obu wypadkach opierałby się na takich samych wykresach! Trzeba więc wyciągnąć wniosek, że gdyby powiedział prawdę, udałoby mu się to przypadkiem, a nie mocą kunsztu. Jest tak, że chociaż ani astrologowie, ani zasięgający u nich porad ludzie nic o tym nie wiedzą - Ty, Panie, najsprawiedliwszy Rządco wszechświata, tajemnym impulsem sprawiasz, że każdy człowiek, kiedy szuka ich opinii, słyszy to, co dobre jest dla niego, by usłyszał. Znasz bowiem ukryte wartości dusz, a wobec niedocieczonej głębi Twych sprawiedliwych wyroków

niechże nie pyta człowiek: "Po co to? Po co tamto?" Niechże nie pyta. Bo człowiekiem jest tylko.

**7. Z tamtych więc więzów już mnie, Wspomożycielu mój, wyzwoliłeś.** Ale nadal zmagalem się z zagadnieniem pochodzenia zła. I nie znajdowałem rozwiązania. Nie dopuszczałeś jednak, by mnie jakiegokolwiek wzburzone fale rozmyślań oderwały od tej wiary, mocą której ufałem, że Ty istniejesz i że substancja Twoja jest niezmienna, jak też że troszczysz się o ludzi i sądzisz ich. Wierzyłem też, że w Chrystusie, Synu Twoim, Panu naszym, i w Piśmie Świętym, które nam zaleca powaga Twego katolickiego Kościoła, otworzyłeś dla ludzi zbawienną drogę do tego życia, które się zacznie po doczesnej śmierci. Przekonania te już się utrwaliły w moim umyśle, bezpieczne, niewzruszone. Lecz jednocześnie w wielkiej gorączce badałem, skąd zło pochodzi. Jakież bóle rodzenia przeżywało serce moje! Jakież z niego dobywały się jęki! O Boże mój! Ty ich słuchałeś, choć ja nie wiedziałem o tym. Gdy w milczeniu szukałem żarliwie, bezsłowne mej duszy cierpienia były wielkimi głosami kołającymi do miłosierdzia Twego.

Ty wiedziałeś, co się ze mną dzieje, a nie wiedział tego nikt z ludzi. Jakże niewiele mogłem z tego opowiedzieć słowami nawet najbliższym. Czyż w ogóle do nich docierał odgłos burzy, jaka w mej duszy się kłębiła? Ani nie było dosyć czasu, ani usta nie były dostatecznie wymowne, aby to wyrazić. Ty jednak wszystko słyszałeś: że wyłem w bólu serca, że ku Tobie wznosiła się moja tęsknota, a oczy moje ciągle nie znajdowały światła. Bo światło było wewnątrz mnie, a ja szukałem go wokół siebie. Nie było go w przestrzeni, a ja się wpatrywałem w przedmioty istniejące w przestrzeni; i nigdzie wśród nich nie znajdowałem oparcia i ukojenia. Ani nie przygarniały mnie one tak, abym mógł rzec, że jestem nasycony, że jest mi dobrze. Ani też nie pozwalały mi powrócić tam, gdzie mógłbym znaleźć ukojenie i szczęście.

Byłem istotą wyższą od tych przedmiotów, a niższą od Ciebie. Byłbyś moją prawdziwą radością, gdybym się poddał Tobie; a poddałeś mi wszystkie rzeczy, które stworzyłeś jako niższe ode mnie.

Taka właśnie byłaby owa odpowiednia, środkiem świata biegnąca droga mego zbawienia, dzięki której pozostałbym wierny Twemu podobieństwu i służąc Tobie panowałbym nad materią. Lecz gdy w pysze powstałem przeciw Tobie, gdy wyruszyłem do walki przeciw Panu chlubiąc się siłą tarczy mojej, nawet te najniższe rzeczy wyrosły nade mnie, osaczały mnie i dusiły. Na próżno szukałem, skąd bym mógł tchu zaczerpnąć. Gdziekolwiek spojrzałem, one się tłoczyły i cisnęły przede mną, a gdy rozmyślałem, tłoczyły się ich obrazy. Zagradzały mi dobrą drogę, jakby chciały powiedzieć: "Dokąd, tak niegodny i zbrukany, idziesz?" Wszystkie te gąszcze wyrastały z mojej rany. To Ty rzuciłeś na ziemię pysznego, jakbyś go ugodził orężem. Rozwielmożniona moja pycha oddzielała mnie od Ciebie; tak wydałem policzki, aż mi zasłaniały oczy.

**8. Ty, Panie, na wieki trwasz, lecz nie na wieki gniewasz się na nas.** Zlitowałeś się nad prochem i popiołem i postanowiłeś uleczyć moje ułomności. Bodźcami wewnętrznymi niepokoiłeś mnie, abym dopóty nie zakosztował uciszenia, dopóki wewnętrzny mój wzrok nie zacznie Ciebie dostrzegać bez żadnej wątpliwości. Pod tajemnym dotknięciem Twojej leczącej ręki rozdęta moja pycha zaczęła opadać, a zamacona moja i zaciemniona inteligencja z dnia na dzień - dzięki oddziaływaniu zbawiennych moich cierpień - stawała się zdrowsza.

**9. Najpierw postanowiłeś okazać mi, jak się pysznym sprzeciwiasz, a pokornych obdarzasz łaską i jak wielkim przejawem Twego miłosierdzia było wskazanie ludziom drogi pokory, gdy Słowo Twoje stało się ciałem i pośród ludzi zamieszkało.** Posłużyłeś

się pewnym człowiekiem, którego pycha była wprost niesamowita, aby mi podsunął książki platoników przełożone z greki na łacinę. Przeczytałem w nich - wprawdzie nie w takich słowach, ale taką właśnie treść, i to wspartą wieloma różnymi argumentami - że na początku było Słowo, a Słowo było u Boga, a Bogiem było Słowo; to było na początku u Boga; wszystko się przez Nie stało, a bez Niego nic się nie stało. Co stało się, w Nim jest życiem. A życie było światłością ludzi, a światłość w ciemnościach świeci, a ciemności jej nie ogarnęły. Czytałem także, iż dusza ludzka, chociaż daje świadectwo o światłości, sama jednak nie jest światłością, lecz jest nią Bóg Słowo. On jest światłością prawdziwą, oświecającą każdego człowieka, który przychodzi na ten świat. I czytałem, że był On w tym świecie, że świat został przez Niego stworzony, a nie poznał Go. Ale o tym, że do swojej dziedziny przyszedł, a swoi Go nie przyjęli, wszystkim zaś, którzy Go przyjęli, dał moc, aby się stali synami Bożymi, tym, którzy wierzą w imię Jego - o tym owe książki milczały.

Czytałem w nich również o tym, że Bóg Słowo nie z ciała ani z krwi, ani z woli męża, ani z woli ciała, lecz z Boga się narodził. Lecz nie było tam nic o tym, że Słowo ciałem się stało i zamieszkało między nami. Chociaż wyrażenia były tam odmienne i treść tę wypowiedziano wieloma różnymi sposobami, czytałem w owych książkach, że Syn w postaci Ojca nie za grabież poczytał to, że jest równy Bogu - bo z natury jest właśnie taki. Lecz o tym, że samego siebie wyniszczył, przyjmując postać sługi; że upodobniwszy się do ludzi był z postaci uznany za człowieka; że się uniżył w pokorze aż do śmierci, i ta śmierci krzyżowej, i że Go przeto Bóg podźwignął z martwych i dał Mu imię, które jest ponad wszelkie imię, aby na imię Jezusa zginało się wszelkie kolano istot niebiańskich, ziemskich i podziemnych i aby wszelki



język wyznawał, że Pan Jezus jest w chwale Boga Ojca - o tym owe książki milczą zupełnie.

Mówiły natomiast, że przed wszystkimi wiekami i ponad wszystkimi wiekami niezmiennie trwa jednorodzony Syn Twój współwieczny z Tobą i że z Jego pełni dusze czerpią swoje błogosławieństwo. I że dzięki uczestniczeniu w Mądrości, która ich nie opuszcza, odnawiają się, i to jest źródłem ich mądrości. Ale nic nie mówią o tym, że On w stosownym czasie umarł za bezbożnych; że Syna swego jedynego nie oszczędziłeś, lecz za nas wszystkich wydałeś Go na śmierć. O tym owe książki milczą. Bo te rzeczy ukryłeś przed mądrymi, a odkryłeś je maluczkiemu, aby przyszli do Niego utrudzeni i obciążeni; cichy jest bowiem i pokornego serca; opiekuje się cichymi przed sądem, a łagodnych uczy ich dróg, widząc uniżenie nasze i nasz trud i odpuszczając nam wszystkie grzechy. Ci zaś, którzy na koturnach jakoby wyższej wiedzy chcą się wspiąć wysoko - ci nie słyszą owych słów: "Uczcie się ode mnie, żem jest cichy i pokornego serca, a znajdziecie spoczynek dla dusz waszych". Nawet gdy rozpoznają Boga, nie jako Boga Go wielbią ani nie składają dziękczynienia, lecz marnieją w swoich rozmyślaniach i wtedy zaciemnia się ich nierozumne serce, gdy mówią sobie, że są mądrzy, a głupcami się stali.

Spotkałem też w owych książkach chwałę nieskazitelności Twojej przemienioną w bożki i różne wizerunki, na podobieństwo postaci zniszczalnego człowieka, ptaków, czworonogów i węży, czyli w to jądło egipskie, dla którego Ezaw utracił pierworództwo, gdyż lud pierworodny uwielbił zamiast Ciebie głowę czworonoga, sercem zwracając się ku Egiptowi i pochylając to Twoje podobieństwo, duszę swą, przed wizerunkiem cielca karmiącego się sianem. Również taki pokarm znalazłem w owych książkach; ale tego nie pożywałem. Spodobało się bowiem Tobie, Panie, zdjąć z

Jakuba niesławę niższości, aby odtąd starszy służył młodszemu. Wezwałeś pogan do Twego dziedzictwa.

Właśnie spośród pogan i ja do Ciebie przyszedłem. I wpatrzyłem się w złoto, które z Twojej woli lud Twój wywiózł z Egiptu; bo Twoim ono było, gdziekolwiek się znajdowało. Powiedziałaś też Ateńczykom przez usta Twego apostoła, że w Tobie żyjemy, poruszamy się i jesteśmy, jak to również niektórzy z nich mówili. A właśnie stamtąd pochodziły owe książki, które czytałem. Lecz nie pochyliłem się ku bożkom egipskim, którym składali w ofierze Twoje złoto ci, co przemienili prawdę Bożą w kłamstwo, oddając cześć i służąc raczej stworzeniu niż Stwórcy.

**10. Te książki zachęcały mnie, abym wrócił do samego siebie.** Zacząłem więc wchodzić w głębię mej istoty za Twoim przewodnictwem. Mogłem w nią wnikać, ponieważ Ty mnie wspomagałeś. Wszedłem tam i takim wzrokiem duchowym, jaki był mi dany, dojrzałem w górze, ponad owym wzrokiem, ponad moim umysłem światłość Boga niezmienną: nie tę pospolitą światłość dzienną, którą dostrzega każde żywe stworzenie, ani nawet nie jakieś rozleglejsze światło tego samego rodzaju, które mogłoby się rozjarzyć, gdyby światło dzienne wielokrotnie, wielokrotnie się wzmogło i rozjaśniło, i całą napełniło przestrzeń ogromem jasności. Nie było to takie światło, lecz inne, zupełnie odmienne od wszelkich takich rozjarzeń. Było ono nad moim umysłem, ale nie tak, jak oliwa jest nad wodą, ani nie tak, jak niebo jest nad ziemią. Była nade mną ta światłość dlatego, że ona mnie stworzyła, a ja byłem w dole, bom został przez nią stworzony. Kto zna prawdę, zna tę światłość, a kto zna tę światłość, zna wieczność. To jest światłość, którą miłość zna.

Wieczna Prawdo! Prawdziwa Miłości! Umiłowana Wieczności! Tyś Bogiem moim, do Ciebie wzdycham dniem i

nocą. Gdy po raz pierwszy Cię poznałem, Tyś mnie do siebie przygarnął, żebym zobaczył, iż powinienem coś ujrzeć, a także - iż nie jestem jeszcze zdolny do ujżenia tego. Schłostałeś słabość mego wzroku, przemożnym uderzywszy we mnie blaskiem, aż zadrzałem z miłości i zgrozy. Zrozumiałem, że jestem daleko od Ciebie - w krainie, gdzie wszystko jest inaczej. I zdało mi się, że słyszę Twój głos z wyżyny: "Jam pokarm dorosłych, dorośnij, a będziesz mnie pożywał; i nie wchłoniesz mnie w siebie, jak się wchłania cielesny pokarm, lecz ty się we mnie przemienisz". Zrozumiałem też, że za niegodziwość ukarałeś człowieka i sprawiłeś, że się rozprzędła jak pajęczyna dusza moja. Zadawałem pytanie: "Czyż Prawda jest niczym, skoro nie przysługuje jej rozciągłość w przestrzeni - czy to skończonej, czy nieskończonej?" I z wielkiej dali usłyszałem Twój głos: "To jam jest Tym, który jest". Usłyszałem tak, jak się słyszy głos w głębi własnego serca, i od razu się rozwiały moje wątpliwości. Łatwiej byłoby mi wątpić w to, że żyję, niż w to, że istnieje Prawda, którą poprzez rzeczy stworzone można zrozumieć i poznać.

**11. Przypatrzyłem się też rzeczom istniejącym poniżej Ciebie** i rozumiałem, że one ani nie istnieją w sposób zupełny, ani nie można rzec, żeby w sposób zupełny nie istniały. Są rzeczywiste w takiej mierze, w jakiej od Ciebie czerpią istnienie, lecz są nierzeczywiste w tym znaczeniu, że nie są tym, czym Ty jesteś. To bowiem naprawdę istnieje, co niezmiennie trwa. Dla mnie dobrze jest przyłgnąć do Boga. Tylko wtedy bowiem, gdy w Nim trwać będę, będę mógł trwać w samym sobie. On zaś w samym sobie trwając odnawia wszystko. Boże, Panem moim jesteś, bo żadnych innych dóbr ode mnie nie potrzebujesz.

**12. Stało się też dla mnie jasne, iż rzeczy, które ulegają zepsuciu, są dobre.** Gdyby były najwyższymi dobrami, nie mogłyby ulec

zepsuciu. Nie mogłyby też się zepsuć, gdyby w ogóle nie były dobre. Będąc najwyższymi dobrami, byłyby niezniszczalne; gdyby zaś zupełnie nie były dobrami nie byłoby w nich niczego, co można by zepsuć. Zepsucie jest szkodą; a przecież nie byłoby szkodą, gdyby nie polegało na zmniejszeniu dobra. Albo więc zepsucie nie wyrządza żadnej szkody (co oczywiście jest stwierdzeniem niedorzecznym), albo (co jest oczywistą prawdą) wszelkie rzeczy, które ulegają zepsuciu, są pozbawiane jakiegoś dobra. Jeśli zaś zostaną pozbawione wszelkiego dobra, w ogóle przestaną istnieć. Bo przecież jeśliby nadal istniały i już nie mogły ulec zepsuciu, byłyby lepsze, niż były przedtem, gdyż trwałyby w stanie niezniszczalności. A czy można wymyślić okropniejszą niedorzeczność niżeli twierdzenie, iż rzeczy stały się lepsze przez utracenie wszelkiego dobra? Trzeba więc wyciągnąć wniosek, że jeśli zostaną pozbawione wszelkiego dobra, nie będą w ogóle niczym. Dopóki istnieją, są dobre. Wszystko więc, co istnieje, jest dobre. A owo zło, którego pochodzenie chciałem odkryć, nie jest substancją. Gdyby bowiem było substancją, byłoby dobrem. Byłoby przecież albo substancją niezniszczalną, czyli dobrem wysokiego rzędu, albo substancją niszczywalną, która nie mogłaby ulec zepsuciu, gdyby nie była dobra. Pojąłem w sposób zupełnie jasny, że wszystko, co stworzyłeś, jest dobre i że nie ma żadnych substancji, których byś nie stworzył. A ponieważ nie uczyniłeś wszystkich rzeczy równymi, jest tak, że każda poszczególna rzecz jest dobra, a wszystkie razem są bardzo dobre, gdyż ogół wszystkich rzeczy stworzyłeś, Boże nasz, jako bardzo dobry.

**13. Dla Ciebie w ogóle nie ma zła, i nie tylko dla Ciebie, lecz i dla Twego stworzenia jako całości, bo poza Tobą nie ma niczego, co mogłoby się wedrzeć do stworzenia i zepsuć ład, jaki w nim ustanowiłeś. W niektórych jednak częściach stworzenia istnieją pewne rzeczy, które uważamy za złe, gdyż nie**

harmonizują z innymi rzeczami. Ale są jeszcze inne, takie, z którymi one harmonizują - a więc i one są dobre; także w samych sobie rzeczy te są dobre. I wszystkie rzeczy, które się z sobą nawzajem nie zgadzają, harmonizują z niższą częścią świata, którą nazywamy ziemią; niebo jest chmurne i wietrzne, lecz właśnie takie jest odpowiednie dla ziemi.

Niechże więc nigdy nie nawiedzi mnie myśl, żeby te rzeczy przestały istnieć! Bo nawet gdybym tylko je dostrzegał, to wprawdzie tęskniłbym za czymś lepszym, ale już i za nie powinienem Ciebie sławić. To, żeś Ty godzien chwały, okazują na ziemi wężę i otchłanie, ogień, grad, śnieg, lód, wichur burzy - one wypełniają słowo Twoje; góry i wszystkie wzgórza, drzewa owocodajne i wszystkie cedry, zwierzęta dzikie i wszelkie bydła, płazy i skrzydlate ptaki, królowie ziemi i wszystkie ludy, książęta i wszyscy sędziowie ziemi, młodzieńcy i dziewice, starsi z młodymi - niechże sławią imię Twoje. Ponieważ i z nieba winna dźwięczeć Twoja chwała, niechże Ciebie sławią, Boże nasz, na wysokościach wszyscy aniołowie Twoi, wszystkie Twoje moce, słońce i księżyc, wszystkie gwiazdy i światłość, niebios a niebios i wody, które są nad niebiosami - niech imię Twoje chwalą. I już nie tęskniłem za czymś lepszym, gdy to wszystko ogarniałem myślą. W świetle rozumniejszego pojmowania uznałem, że chociaż rzeczy wyższe są lepsze od niższych, to jednak całość stworzenia jest czymś lepszym od samych tylko rzeczy wyższych.

**14. Brakuje rozsądku ludziom, którym się cokolwiek nie podoba w Twoim stworzeniu.** Tak właśnie mnie nie dostawało rozsądku, gdy patrzyłem z naganą na wiele spośród rzeczy, jakie stworzyłeś. A ponieważ dusza moja nie ośmielała się być niezadowolona z Boga mego, zaprzeczała, jakoby było Twoim to, co się jej nie podobało. Z tego powodu wybrała była teorię o istnieniu dwóch substancji. Dlatego też nie mogła znaleźć ukojenia i

głosiła tezy obłądne. Potem odrzuciła ową teorię i wyobraziła sobie Boga rozciągniętego przez całą przestrzeń w nieskończoność. Utożsamiła tego bożka z Tobą i umieściła go w swoim sercu, znowu stając się taką świątynią, którą musiałeś się brzydzić. Lecz gdy Ty w sposób dla mnie niespodziewany ukoilię moją głowę i zamknęlię moje oczy, aby nie patrzyły na niedorzeczne urojenia, ogarnęlię mnie senność i usnęlię we mnie całe to szaleństwo. Ocknąlię się ku Tobie i zobaczylię, że jesteś nieskończony, ale w zupełnie inny sposób, niż sobie przedtem wyobrażałem. A poznania tego nie zawdzięczałem zmysłom.

**15. Przypatrzywszy się innym rzeczom, pojąłem, że Tobie one zawdzięczą istnienie** i że w Tobie istnieją wszystkie rzeczy skończone, lecz w inny sposób, niż przedtem mniemałem: istnieją w Tobie nie jak w przestrzeni, lecz dlatego, że Ty dzierżysz wszystkie rzeczy w Twojej prawdzie, jakbyś je trzymał w ręce. I wszystkie w takiej mierze, w jakiej istnieją, są prawdziwe. Fałsz bowiem to nie jest nic innego jak mniemanie o istnieniu czegoś, co nie istnieje. Pojąłem też, że wszystkie rzeczy są dostosowane nie tylko do miejsc, w których istnieją, lecz także do swoich pór. I że Ty, któryś jest jedyny wiekuisty, nie po upływie nieprzeliczonych wieków zacząlię działać. Albowiem wszelkie okresy czasu - i te, co przeszły już, i te, co przejdą - nie zapadłyby w przeszłość ani by nie nadchodziły, gdybyś Ty nie działał i nie trwał.

**16. Przekonałem się z własnego doświadczenia, że nie ma w tym nic dziwnego, gdy człowiekowi choremu nie smakuje chleb,** tak błogi dla podniebienia zdrowego; albo gdy chore oczy odwracają się od światła, za którym, tęsknią oczy zdrowe. Tak też niegodziwcom nie podoba się Twoja sprawiedliwość, jakby dotykali żmij i robaków. A przecież także te zwierzęta stworzylię jako dobre, jako odpowiednie dla niższych części Twego stworzenia, do których pasma również sami owi

niegodziwcy w takiej mierze, w jakiej są niepodobni do Ciebie, pasują zaś do wyższych części w takim stopniu, w jakim stają się do Ciebie podobniejsi. Chciałem pojąć, czym jest niegodziwość, i zrozumiałem, że nie jest to żadna substancja, lecz tylko przewrotność woli odwracającej się od Ciebie, Boże, któryś jest substancją najwyższą i kierującą się w dół ku rzeczom najniższego rzędu; odrzucającej to, co w niej samej najbardziej wewnętrzne, i rozgorączkowanej pożądaniem rzeczy zewnętrznych.

**17. Zdumiewało mnie, że chociaż miłowałem już Ciebie,** a nie jakieś widmo zamiast Ciebie, jednak nie byłem stały w radowaniu się moim Bogiem. Oto Twój czar porывał mnie ku Tobie, a niebawem odrywała mnie od Ciebie moja własna siła ciężkości i znowu spadałem ku rzeczom tego świata, płacząc. Owa siła ciężkości to były nawyki cielesne. Ale pamięć o Tobie nie gasła we mnie ani też w żadnej mierze nie wątpiłem, że właśnie do Ciebie powinienem przyłgnąć. Tylko jeszcze nie byłem do tego zdolny. Albowiem "ciało, ulegające zepsuciu, obciąża duszę; ziemskie mieszkanie przytłacza umysł pełen myśli".

Byłem jednak całkowicie pewny, że poprzez rzeczy stworzone można poznać niewidzialne sprawy Twoje od ustanowienia świata, jak też wieczną moc Twoją i boskość. Zastanowiłem się bowiem, na jakiej podstawie mogłem docenić piękność rzeczy materialnych, czy to w górze na niebie, czy na ziemi, i co mi umożliwiałoby wypowiedanie trafnych sądów o rzeczach zmiennych - gdy mówiłem, że to powinno być tak, a to inaczej. Starając się pojąć podstawę tych moich sądów, zrozumiałem wreszcie, że ponad moim umysłem poddanym zmienności istnieje nigdy się nie zmieniająca, prawdziwa wieczność prawdy. W taki sposób krok za krokiem moje myśli zmierzały od rzeczy materialnych do duszy poznającej świat poprzez zmysły, a od niej do tej wewnętrznej mocy duszy,

której zmysły przekazują wieści o faktach zewnętrznych. Tylko dotąd sięga zdolność, jaką mają też nieme zwierzęta. Dalej bowiem jest zdolność rozumowania: jej osądowi poddajemy fakty, o których nas powiadamiają zmysły.

Ta zdolność rozumowania, gdy sobie uświadomiła, że we mnie jest również poddana zmienności, wzniosła się ku pragnieniu zrozumienia samej siebie. Sprowadziła moje myśli z ich zwykłych torów i wyrwawszy się z gąszczu sprzecznych urojeń chciała odkryć, jakim to ona jest oświecona blaskiem wtedy, gdy bez żadnego wahania woła, że to, co niezmiennie, trzeba uznać za lepsze od tego, co zmienne. I skąd w ogóle ona zna to niezmiennie? Bo przecież gdyby go w żadnym stopniu nie znała, z pewnością nigdy nie mogłaby mu przyznać wyższości nad tym, co zmienne. I oto w chwili wstrząsającego widzenia dusza moja dotarła do tego, co jest. Wtedy wreszcie pojąłem - poprzez rzeczy stworzone - niewidzialne sprawy Twoje. Ale nie miałem dość siły, żeby się w to dłużej wpatrywać. Odepchnięty własną słabością, wróciłem do zwykłych doświadczeń, stamtąd przynosząc z sobą tylko pełną tęsknoty pamięć - jakby mnie owiała woń pokarmu, którego jeszcze nie byłem zdolny pożywać.

**18. Myślałem o tym, skąd powinienem nabyć mocy**, która by mi umożliwiła radowanie się Tobą. Nie znajdowałem na to żadnego sposobu, dopóki nie wyciągnąłem rąk ku Pośrednikowi między Bogiem a ludźmi, człowiekowi Jezusowi Chrystusowi, który jest wzniesionym ponad wszystko Bogiem błogosławionym na wieki. Woła On: "Jam droga, prawda i żywot". On to złączył z naszym ciałem ten pokarm, jakiego ja jeszcze nie byłem zdolny pożywać. Słowo po to stało się ciałem, aby mądrość Twoja, przez którą świat stworzyłeś, mogła się stać mlekiem karmiącym nasze dzieciństwo. A ja jeszcze nie przyjmowałem naszego Pana Jezusa Chrystusa jako pokorny pokornego i jeszcze nie



wiedziałem, czego mogłaby mnie nauczyć Jego słabość. Tego mianowicie, że Słowo Twoje jest wieczną Prawdą, która niezmiernie przerastając najwyższe nawet części Twego stworzenia, wszystkich, co się jej poddają, podnosi ku sobie. W niższej części stworzenia zbudowała sobie ubogi dom z naszej gliny, aby dzięki temu mogła ludzi, którzy się jej poddają, wyzwolić od nich samych i pociągnąć ku sobie, lecząc ich z pychy i karmiąc w nich miłość, aby już nie kroczyli ufając samym sobie, lecz by sobie raczej uświadomili własną słabość, widząc u swych stóp bóstwo osłabione przyjęciem szaty naszej śmiertelności - aby wreszcie znużeni rzucili się do stóp tej Prawdy, a ona, podnosząc się, również ich podźwignęła.

**19. Ja jednak wtedy inaczej te sprawy pojmowałem.** Uważałem Chrystusa, mego Pana, tylko za człowieka wyposażonego w niezwykłą mądrość, takiego człowieka, z którym żadnego innego nie można było porównać. W szczególności Jego cudowne narodzenie się z dziewiczej Matki, przez które nam okazał, że ziemskimi dobrami należy wzgardzić w celu osiągnięcia życia nieśmiertelnego, wydawało mi się aktem Bożej troski o nas: jakby Bóg chciał, aby przez takie narodzenie Pan nasz zasługiwał na szczególną cześć jako Nauczyciel. Jaka zaś kryła się tajemnica w tym, że Słowo stało się ciałem - tego nawet nie przeczuwałem. Z wszystkiego, co o Nim podawały Pisma - że jadł, pił, spał, chodził, radował się i smucił, wygłaszał kazania - taki wyciągałem wniosek, że kiedy Słowo Twoje przyjęło ludzkie ciało, musiało przyjąć również ludzką duszę i umysł. Rozumie to każdy, kto wie, że w samym sobie Słowo Twoje nie może podlegać żadnej zmianie; to już jakoś dotarło do mojej świadomości, a nawet nie miałem żadnych wątpliwości co do tego. Jeśli zaś wola porusza członkami ciała, a potem zostawia je w bezruchu, jeśli się odczuwa jakiś afekt, a potem przestaje

się go odczuwać, jeśli się wypowiada słowa wyrażające jakąś treść, a potem się milknie - to nie ulega wątpliwości, że w tej duszy i w tym umyśle istnieje możliwość zmiany. Gdyby zaś Pisma podawały to o Nim fałszywie, całą ich treść można by oskarżyć o fałsz i ludzkość nie mogłaby w nich pokładać bezpiecznej ufności.

Uznając, że Pisma mówią prawdę, przypisywałem Chrystusowi pełnię człowieczeństwa, nie tylko ciało ludzkie i nie tylko ożywione duszą ciało bez ludzkiego umysłu; uważałem Go za pełnego człowieka. Mniemałem, że górować On nad wszystkimi innymi ludźmi nie przez to, że był wcieloną Prawdą, lecz przez to, że w Nim natura ludzka wzniosła się do niezwyklej doskonałości i że pełniej uczestniczył w Boskiej Mądrości. Alipiusz natomiast sądził, że według wiary katolików był On Bogiem odzianym w ciało, czyli że w Chrystusie był tylko Bóg i ciało, lecz nie było ludzkiej duszy. Mniemał, że katolicy odmawiają Chrystusowi ludzkiego umysłu, a ponieważ z drugiej strony był głęboko przekonany, że te Jego czyny, które zapisano, mogły być dokonane tylko przez istotę wyposażoną w siłę żywotną i w rozum, ociągał się z przyjęciem wiary chrześcijańskiej. Potem jednak zrozumiał, że takie błędne pojmowanie było właściwe heretykom apolinarystom, i z radością przyjął przekonania katolickie. Co się mnie tyczy, muszę przyznać, że dopiero trochę później dowiedziałem się, czym się prawdziwa wiara katolicka różni od błędu Fotyna w interpretacji tego, że Słowo stało się ciałem. Odrzucenie tez heretyckich bardziej uwydatnia, Panie, wiarę Twego Kościoła i treść prawdziwej nauki. Musiały pojawić się herezje, aby wypróbowani jawnie się ukazali pośród słabych.

**20. Książki platoników, które przeczytałem, zachęciły mnie do szukania bezcielesnej Prawdy.** Dojrzałem niewidzialne sprawy Twoje, pojęte poprzez rzeczy stworzone, ale nie mogąc posunąć się

dalej, zrozumiałem, że na dokładniejsze widzenie nie pozwalają mi ciemne chmury zalegające mą duszę. Byłem już pewny zarówno tego, że Ty istniejesz, jak i tego, że jesteś nieskończony - lecz nie w znaczeniu rozciągłości w przestrzeni, czy to ograniczonej, czy nieograniczonej. Wiedziałem, że Ty naprawdę istniejesz, będąc zawsze ten sam, nie zmieniając się w żadnej części ani w żadnym poruszeniu. Wiedziałem też, iż z Ciebie wszystkie rzeczy czerpią istnienie, a niezachwianym tego dowodem jest już sam fakt, że istnieją. Tych prawd byłem całkowicie pewny, lecz jeszcze byłem zbyt słaby, aby radować się Tobą. Wymownie o tym rozprawiałem, jakbym to wszystko już rozumem ogarnął, ale gdybym nadal nie szukał drogi do Ciebie poprzez Zbawiciela naszego, Chrystusa, nie ja te sprawy, lecz mnie zagarnęłaby zagłada. Zaczęła mi pochlebiać opinia, że jestem mądry. Była to kara, jaką sam sobie wymierzyłem. Zamiast płakać nadymałem się pychą: jakież to ja jestem uczony.

Gdzie była owa miłość, która buduje na fundamencie pokory, czyli na Jezusie Chrystusie? Czyż mogłem się spodziewać, że jej zaczerpnę z ksiązek platoników? Myślę, że z Twojej woli natrafiłem na te książki, zanim zacząłem studiować Twoje Pismo Święte. Chciałeś, aby się wyryło w mojej pamięci, jaki wpływ owe książki na mnie wywarły, po to, abym w późniejszych latach, gdy już mnie wychowały Twoje Księgi i gdy pod dotknięciem Twych uzdrowicielskich palców już się zablźniły moje rany - abym wtedy umiał przenikliwie dostrzegać różnicę między zarozumiałością a wyznaniem, między tymi, którzy wiedzą, dokąd należy iść, lecz nie znają wiodącej tam drogi, a tymi, którzy dobrze rozpoznają drogę do błogosławionej ojczyzny, będącej dla nas nie tylko wizją, lecz miejscem, gdzie mamy zamieszkać. Gdyby bowiem owe książki wpadły mi w ręce dopiero po tym, jak mnie ukształtowały Twoje Pisma święte i jak przez zażyłe z nimi

obcowanie zakosztowałem Twojej słodyczy, może wywody platoników oderwałyby mnie od mocnej podstawy pobożności albo - gdybym wytrwał w pobożności zaczerpniętej z Pism świętych - może mniemałbym, że człowiek, który by niczego poza rozprawami platońskimi nie czytał, mógłby z nich samych zaczerpnąć takiego samego ducha.

**21. Łapczywie więc chwyciłem w ręce czcigodne Pisma natchnione przez Ducha Świętego**, a zwłaszcza teksty apostoła Pawła. Rozwiały się teraz obawy, które mnie niegdyś nękały: gdy mi się wydawało, że autor ten w pewnych miejscach sam sobie przeczy i że to, czego naucza, nie jest w zgodzie ze świadectwami Prawa i Proroków. Zajaśniała przede mną jednolita treść świętych tekstów. Nauczyłem się radości przenikniętej trwożną czcią. Niebawem stwierdziłem, że cokolwiek w tamtych ksiązkach platońskich było prawdziwego, tu także się znajduje. A to wszystko poznawałem, tu lepiej, bo z dziękczynieniem za Twoją łaskę. Ten bowiem, kto widzi, nie powinien chlubić się, - tak jakby tego nie otrzymał w darze - nie tylko tego, co widzi, lecz także samej zdolności widzenia. Cóż bowiem ma, czego by nie otrzymał? Nie tylko doznaje pouczenia, jak ma dostrzec Ciebie, który zawsze taki sam jesteś, lecz także otrzymuje siłę, dzięki której może przy Tobie wytrwać. Jeśli jest daleko od Ciebie i nie może Ciebie dojrzeć, otwierasz przed nim drogę, która go doprowadzi tam, gdzie zobaczy Cię i będzie trwał przy Tobie. Sam człowiek bowiem, choćby się wewnętrznie radował prawem Bożym, cóż poradzi przeciw innemu prawu w swoim ciele, walczącemu z prawem jego umysłu i wlokącemu go w niewolę pod prawo grzechu, wypisane w jego członkach? Ty sprawiedliwy jesteś, Panie, a my zgrzeszyliśmy, postąpiliśmy niegodziwie, byliśmy bezbożni, więc zaciążyła nad nami ręka Twoja i słusznie zostaliśmy wydani na łup pradawnemu sprawcy grzechu, księciu śmierci,

bo zdołał znęcić naszą wolę do upodobnienia się do jego woli, przez którą nigdy nie stanął w Twojej prawdzie.

Cóż uczyni człowiek nieszczęsny? Kto go wyzwoli z tego ciała śmierci, jeśli nie łaska Twoja przez Jezusa Chrystusa, Pana naszego, któregoś zrodził jako współwiecznego Tobie i stworzył na początku dróg Twoich? W Nim księżę tego świata nie znalazł niczego godnego śmierci, a zabił Go i przez to wymazany jest wyrok, który był wydany przeciwko nam. Tego w książkach platońskich się nie znajdzie. Nie jaśnieje z nich ta prawdziwa pobożność, nie płyną łzy wyznania, nie ma tam owej ofiary dla Ciebie: ducha udręczonego, serca skruszonego i ukorzonego, nie słyszymy o zbawieniu ludu Twego, o mieście przystrojonym jak oblubienica, o zadatku Ducha Świętego, o kielichu naszego Odkupienia. Nikt tam nie śpiewa: "Komuż jak nie Bogu podda się dusza moja? Od Niego zbawienie me! On, nie kto inny, Bogiem moim i Zbawcą, obrońcą moim. Już się nie zachwieję".

Nikt tam nie nasłuchuje wołania: "Chodźcie do mnie, którzy utrudzeni jesteście". Lekceważą Jego naukę, bo On cichy jest i pokornego serca. O tak! - ukryłeś to przed mądrymi i przewidującymi, a objawiłeś małuczkim. Co innego - dostrzec z wierzchołka porośniętej lasem góry ojczyznę pokoju w dali, ale nie móc znaleźć właściwej drogi do niej, błąkać się bezsilnie po bezdrożach, tułać się wśród zasadzek; zdradzieckich rabusiów, uciekinierów z pochodu, których wodzem jest lew i smok, a co innego kroczyć drogą wiodącą do owej krainy, wytyczoną staraniem niebiańskiego Wodza; nie szerzą tu rozboju żadni zbiegowie z niebiańskich zastępów. Oni unikają tej drogi jak kaźni! Wszystkie te nauki cudownie do mnie przenikały, gdym najmniejszego z Twoich apostołów czytał; gdy rozważyłem dzieła Twoje i zadrzałem z trwogi.

